



BOLESŁAW LEŚMIAN

Majka

BOLESŁAW LEŚMIAN
KLECHDY POLSKIE

Majka

Działo się na pierwszy dzień Zielonych Świątek¹. W maju ów dzień wypadł. Marcin Dziura nie po bożemu go spędził, bo w karczmie. Milczał i pił, pił i milczał. Trudno nawet powiedzieć, czego mu więcej było potrzeba — picia czy milczenia. Jedno i drugie zarówno było niezbędne.

Inni gawędą stosowną wódkę zabarwiali, a on siedział odludnie wpodle² ściany i pił sam do

¹*Zielone Świątki* — daw. ludowe święto wiosny, w polskiej tradycji katolickiej ludowa nazwa święta Zesłania Ducha Świętego, obchodzonego 7 tygodni po Niedzieli Wielkanocnej. [przypis edytorski]

²*wpodle* (daw.) — obok. [przypis edytorski]

siebie, jakby się przed chwilą dopiero ze sobą samym pokumał³ czy pobratał.

Tęsknota go jakaś bezimienna opadła i do samotności niewoliła.

Nie umiałby nawet opowiedzieć, jak owa tęsknota na oko wygląda, po co przyszła, czego chce i ku czemu się garnie.

Wiedział jeno, że mu serce w piersi coś tak sparło, jak czasem dech w gardle spiera.

Już od tygodnia czuł, że mu czegoś braknie, a określić braku nie potrafił.

— Niech sobie — powiada — i nadal w swym nieokreśleniu przebywa, jeśli mu tam dobrze i wygodnie.

Na próżno młynarzowa, rok temu jeszcze owdowiawszy, gdy Dziura przed tygodniem o tym braku i o tej tęsknocie jej prawił, stan jego bezżenny mimochodem skarciła.

Nie słuchał jej Dziura, a brak tymczasem coraz się zwiększał, jakby rósł na drożdżach za piecem. I teraz oto, w karczmie siedząc i po-

³*pokumać się* — daw. gw.: zostać czyimś kumem, tj. ojcem chrzestnym jego dziecka a. teściem tego dziecka; wejść z kimś w jakieś istotne relacje (dziś: dogadać się z kimś, nierzadko w złych zamiarach). [przypis edytorski]

czucie onego braku rozważając, wymiarkował, że mu właśnie wódki zabrakło.

Ale nadaremno wódką brak ów starannie wypełniał. Przekłęte poczucie trwało nadal. Dzień cały Dziura w karczmie przetrwał, a nocą, gdy właśnie inni na dobre schodzić się zaczęli, karczmę nagle opuścił.

Wyszedł ze wsi w pole, pszenicą przestłonięte.

Noc księżycowa, z równią kłosów pszenicznych zetknięta, w miejscu onego zetknięcia dymiła światłem błękitnawym, rozwidniając odmienne cokolwiek, bo srebrzyście wybiegłe tu i ówdzie ponad równią kłosy samotne, dorywczo wybujale, które to zazwyczaj stróżami przezywają.

W powietrzu pachniało jak we młynie.

Idąc brzegiem pszenicy, Dziura dłoń płazem sunął po jej grzbietach posłusznie falujących, bo mu przyjemnie było za pomocą dłoni porozumiewać się z ich gładkością i ochłoda, jakby właśnie tą dłonią światło księżycowe zgarniał.

Zgarniał je kęs czasu, aż tu nagle dłoń na jakąś przegrodę natrafiła, i nie na zwykłą przegrodę, jeno na żywą, bo czuł Dziura że owa przegroda czy to postronić⁴ się, czy to umknąć usiłuje.

Zanurzył dłoń głębiej w pszenicy i niezwłocznie pochwycił coś, niby sznur jedwabny.

Pociągnął za sznur i widzi, że to nie sznur, lecz warkocz złocisty.

Pociągnął tedy za warkocz, a tuż za warkoczem głowa się czyjaś z pszenicy wychyla.

Głowa dziewczęcia, a w ślad za głową — szyja biała, a w ślad za szyją ramiona młode, obciste...

Zaniechał Dziura dalszego pociągania.

Dość mi na tym, com po ramiona obejrzeć zdołał — pomyślał nie bez słuszności. — Tyle się tego z pszenicy wyłoniło, że już można z tym wyłoniątkiem i pogawędzić, i o rodowód zapytać. Wystarczy!

⁴postronić się — odsunąć się na bok, usunąć się. [przypis edytorski]

Pochylił się nieco i, warkocza z rąk nie wypuszczając, zajrzał do oczu błękitnych, ponad pszenicą, jako dwa świetlaki, jaśniejących.

— Domyślam się, coś za jedna! — powiedział. — Majka jesteś i basta! W pszenicy w noc Zielonych Świątek rusałkujesz⁵, czatując pewnikiem na przechodniów urodziwych, brakiem czegoś nieokreślonego niby pokusą dotkniętych.

— Puść mnie! — jęknęła Majka, gdyż ona to była we własnej osobie.

— A jak puszczę — to co? — zapytał ciekawie Dziura.

— To nic — odrzekła Majka po krótkim namyśle.

— Nie głupim! — odparł Dziura. — Nie puszczę!

Wiatr łanem pszenicznym kolejno i stopniowo zakołysał, i kołysanie owo z nieznac-

⁵*rusałkować* (neol.) — być rusałką; czas. utworzony od rzecz. rusałka (boginka, nifma). [przypis edytorski]

nym opóźnieniem udzieliło się mży⁶ błękitnej, którą księżyc ponad łanem rozetlił.

Zdawało się, iż te łany, aż do zawrotu głowy falowaniem objęte, mają dno tak samo chwiejne i niestałe jak powierzchnię.

— Nie puszczę! — powtórzył Dziura, zgrubiałymi od pracy palcami wyczuwając miękkość i bezbronność jedwabistego i zwilżonego rosą warkocza, który w tym miejscu, gdzie go uścisk dłoni zdławił, zagrzał się i od zagrzewku parował wonią ziół polnych.

Majka z wolna po pas się wynurzyła z pszenicy.

Dziura w te pędy poprzez źdźbła pszeniczne zerknął ukosem do głębi i ujrzał resztę jej ukrytego ciała.

Była ta reszta łuską szczelnie pokryta i ogonem rybim zręcznie zakończona.

— Trzebaż ci było tak trafnie się zacząć, a tak szpetnie zakończyć? — spytał nie bez żalu. — Do pasa rzetelnie i uczciwie, wedle wsze-

⁶*mża* — rzecz. utworzony od czas. mżyć (tu: świecić rozproszonym, słabym światłem); lśnienie, poświata. [przypis edytorski]

lakiej stosowności, jako ten sprzęt Boży uciosana, a od pasa — obraza oczu ludzkich i pośmiewisko, niebu i ziemi postronne⁷!

— Tegom się bała najstrożej, że do pasa mnie uznasz i przygarniesz, a od pasa — nie uznasz i postronisz — szepnęła boleśnie Majka. — Czekałam na ciebie w pszenicy, jak się czeka w alkowie⁸, zewsząd na oścież rozwartej. Nie zgotowałam twym dłoniom innej przegrody, prócz tego oto warkocza, który trzymasz tak groźnie, jakby był zbiegiem, dlatego tylko, że dotąd w twych dłoniach nie bywał... Myślałam o tobie i myślałam tak nieustannie, aż się we mnie coś jeszcze, okrom⁹ tych myśli, samo przez się zadumało, i nie mogę tego ani łożami rozwikłać, ani ręką nagłym załamaniem rozstrzygnąć! Bo i cóż ja wiem o tobie? Wiem jedno, że podarki lubisz, więc ci podarek przyniosłam.

⁷*postronny* — tu: obcy, niewłaściwy, niepotrzebny, niechciany. [przypis edytorski]

⁸*alkowa* (daw.) — sypialnia. [przypis edytorski]

⁹*okrom* (daw.) — oprócz. [przypis edytorski]

Zerknął Dziura spode łba, aby podarek wspomniany przed otrzymaniem jeszcze na odległość wzrokiem pogłaskać i ocenić, i stwierdził nie bez zakłopotania, iż Majka trzyma w ręku księgę, której dotąd nie zauważył.

Księga była w mech zielony oprawna i klamrą koralową spięta.

Dziura wprawdzie ani czytać, ani pisać nie umiał, ale wstydził się wyznać przed Majką, że jest nieczytelny i niepiśmienny. Z dumą tedy i godnością wręczoną księgę sobie przyswoił i uczynił przy tym osobliwy ruch ręką, który, jak mu się zdawało, był nieomylną oznaką umiejętności dość biegłego czytania.

— W tej księdze — mówiła tymczasem Majka — w tej księdze przeczytasz o tym, co się pod wodą działo, dzieje i dźiać będzie. Przeczytasz tam i o mnie, i o siostrach moich, i o innych pokrewnych nam, chociaż odmiennych, mieszkankach jezior, rzek, strumieni i ruczajów¹⁰.

¹⁰*ruczaj* (daw.) — strumień. [przypis edytorski]

— A jużci, że jak zacznę czytać, to i w końcu przeczytam wszystko, bom nauczny — podchwycił w czas Dziura, lecz warkocza z rąk jakoś nie wypuszczał.

— Nie ściskaj tak mego warkocza, bo ci w ręku zembrze, jak wąż zdeptany! — zawołała Majka. — Zbyteczna jest twoja surowość i płonne twoje obawy. Choćbyś mnie nawet z rąk na wolność moją rusałczaną wypuścił, nie ujdę ci i nie umknę, bo kocham!

Na dźwięk tego wyrazu Dziura gębę rozwarł, jak do okrzyku, i palce, w warkoczu zanurzone, rozluźnił.

Warkocz opadł na pszenicę, gromadząc się na jej powierzchni we złote wzgórze, którego lekkość widoczniała w miarę, jak wiatr, rozczesując, objętość mu przydawał.

Majka trwała nadal bez ruchu, jakby na wolność wypuszczona nie chciała się pozbyć swej uwięzi.

A Dziura, księgę dzierżąc pod pachą, ponad łanem pszenicznym w osłupieniu górował

i nie uszczuplał gębie rozwarcia, przysporzonego zdziwieniem.

Nie to go zdziwiło, że wybredna snadź¹¹ Majka upodobała sobie jego urodę niezaprzeczoną, jeno to, że, obarczona tak nieznośnym i rybim ogonem, w same oczy miłość mu nagle wyznała, a on tego wyznania nie tylko nie odpycha, lecz — najwidoczniej — przyjmuje i z duszą własną ze względu na ów ogon jakieś układy potajemnie zawiera.

I nie dziwota, że mu natrętna obecność rybiego ogona psuła uroczyste powaby zdarzonego szczęścia, marnując to szczęście od tej właśnie strony, kędy¹² niegodny przywłaszczenia ogon przebywać raczył.

Gdybyś beczkę miodu kroplą smoły zanieczyścił, mniej byś ją uszkodził i mniej byś jej ubliżył, niżli krasie dziewiczej taki ogon niespełna rozumu przydając.

Toteż czuł się Dziura tak, jakby mu kto szczerozłotego dukata do rąk na własność daw-

¹¹snadź (daw.) — podobno, przecież, zapewne. [przypis edytorski]

¹²kędy (daw.) — gdzie; któredy. [przypis edytorski]

szy, przedzierzgnął onego dukata sztuką diabelską w drzazgę, albo i — nie daj Boże — w gorszą jeszcze bezpożyteczność.

Lecz mimo tych uczuć słuszných a mitrężnych¹³ zawrzała w nim radość niestrudzona, jakby go po duszy snopem dojrzałego zboża pogłaskano na znak, że wiosna mu sprzyja i rok nadchodzi urodzajny.

Dawna tęsknota i poczucie braku nieokreślonego, jeśli nie znikły bez śladu, pochowały swe łby uparte w jakieś norze ciemnej, dokąd człek uczciwy nie zagłąda, ciemnością ową zgoła pogardzając.

A natomiast uczuł Dziura, że dusza jego, dotąd połowiczna, uzupełniła się snem niespodzianym, który i ciało pokrzepił, i oczom udzielił niebywałego połysku. Czarowała go, widać, Majka, a on — człek śmiertelny — poddawał się tym czarom nieodpartym.

Poddawał się ochoczo i wprawnie, jak się chłop wszelkiemu jarzmu na tym świecie poddaje.

¹³mitrężny — trudny, męczący; powolny, marudny. [przypis edytorski]

— Kocham! — szepnęła znowu Majka, przygarniając do się warkocz, na pszenicy w bezładzie złocistym poległy.

Nic jej na to Dziura nie odpowiedział, a i ona już odtąd żadnym się szeptem ku niemu nie ozwała.

Oboje bowiem nie mogli od pewnej chwili na mowę ludzką się zdobyć, milczeniem, które przyszło, pilnie zajęci.

I tak milcząc, przetrwali i przestali w pszenicy noc całą aż do przedświtu, wpatrzeni w siebie nawzajem i do miejsc swoich przykuci — on zadumany i nieczytelny, z księgą pod pachą, a ona wiotka i smukła ze światłem księżyca na obnażonych ramionach.

Dopiero o samym przedświcie Majka pierwsza otrząsnęła się z drętwoty całonocnej i rzekła:

— Czas mi już od ciebie, jak był czas do ciebie. Odchodzę, ale pamiętaj w niedzielę następną przyjsć do lasu nad jezioro. Będę tam na ciebie czekała.

Zanim zdążył się Dziura opamiętać i onie-
miałym językiem słowo jakiegokolwiek z gęby wy-
garnąć, Majka dała nura do pszenicy i z oczu
mu znikła.

Ujrzał tylko, jak się równia pszeniczna bruź-
dzi i jak się po niej koła, niby po wodzie, roz-
chodzą, znacząc zapewne drogę Majki, która
się spodem pszenicy wpław przemyka.

Świt się już na widnokresie rozniecał i roz-
dmuchiwał, pierwszym swym pobrzaskiem zie-
lonym dzieląc ziemię od niebiosów.

Wiatr poranny zakrzętnął się w powietrzu
i łanom pszenicznym tu i ówdzie powierzchni
z lekka nadłamał. Pył biały uniósł się po drodze
i, pachnąc, w słońcu zaprzejrzyście.

Dziura westchnął, księżę przed wzrokiem
ludzkim ukrył w zanadrze i do domu kroki od
zadumy zbytniej osowiałe leniwie skierował.

Świt tymczasem rozwidnił się już na dobre.
Wieś się ocknęła.

Powietrze, wypoczęte i nocną ciszą pokrze-
pione, chciwie zdawało się chłonać żałosny skrzyp

wozów drabiniastych i miarowe odgłosy dalekiego młota, które się, nie chcąc, spóźniały do własnych, dobywających je skądciś uderzeń — i zapamiętały, ani tchu, ani żadnych odstępów czasu nie znający poświst piły, która, jak gryzoń piekielny, wżerała się w drzewo podatne — i niechlujny a śpiewny pobrzęk pustych wiader, które się chwiały jeszcze na niewidzialnych już plecach znikłej na zakręcie ulicy dziewczyny.

Dziura rozruchał się nieco i oprzytomniał po nocy, w dziwnym a rozszalałym milczeniu i bezruchu spędzonej.

Czuł się teraz dobrze i odświeżenie, jak wybraniec, któremu nie lada los się wydarzył.

Przechodził właśnie koło niecałkowitej, jak przybudówek, chałupy, sklecone z kilkunastu rozmaitych odcieni desek, jakby naprędce i dla chwilowego użytku, a przeznaczonej na stały pobyt zagnieżdżonego w niej mieszkańca.

Mieszkańcem tym był krawczyk-popsujko, któremu już od niepamiętnych czasów uprzykrzyło się na tej ziemi wszystko, prócz jego własnej wiary żydowskiej.

Chałupa, jeśli to była chałupa, okien nie miała, jakby się urodziła niewidoma i ślepa na to, co się poza nią na tym świecie doczesnym dzieje.

Wszakże czy to dla ozdoby, czy to w drodze ustępstwa obyczajom ludzkim, miała na jednej ścianie podobiznę okna, błękitnym konturem dość trafnie wymalowanego.

Ilekroć krawczyk-popsujko gwoli rozwidnienia swej ciasnej izdebki okna zapotrzebował, tylekroć drzwi otwierał i zawsze skutek osiągał.

I teraz właśnie siedział we drzwiach otwartych na progu i, gwałtownie w sobie skulony, łatał z obojętnością nic warte portki sąsiada Sikory, które to portki, od dawna swej osnowy¹⁴ pierwotnej wyzbyte, stały się jeno umówionym miejscem spotkania łat czerniawych i białawych, żeś z dala mógł je wziąć za szachownicę, Bóg wie czemu kształt dwóch nogawek potwornych przybierającą figlarnie.

¹⁴*osnowa* — tu: tkanina; podstawa. [przypis edytorski]

Dziura zbliżył się doń i, zamiast powitać, powstał chwilę w milczeniu, dając w ten sposób do zrozumienia, że i wita, i pomówić pragnie.

Krawczyk-popsujko, oczu od roboty nie odrywając, jał jeno szybciej igłą portki sąsiada Sikory w upatrzonym miejscu nakłuwać, jakby tam nagle prześlepiony dotąd niedobór zauważył.

— Widzę ja — rzekł, nie patrząc na Dziurę — widzę ja dobrze, że pan Dziura ma do mnie jakiś pośpiech i zapotrzebowanie.

— Mam — potwierdził Dziura dumnie i z zadowoleniem, poprawiając się w ramionach.

— A czym ja mogę panu Dziurze dogodzić? — spytał znowu krawczyk i, uniósłszy nagle portek wzwyż ku słońcu, spojrział w nie ze znanstwem i z taką lubością, jakby się w najczystszy zwierniadle przeglądał.

— Ubranie mi potrzebne — odpowiedział Dziura ze stanowczością i umilkł z zakłopotaniem.

Krawczyk obrzucił teraz Dziurę od stóp do głów wzrokiem przymglonym, jakby zeń mia-

rę już to na kozuch, już to zgoła na trumnę zdejmował.

— Zrobimy panu Dziurze ubranie tak dopasowane, że jak w nie wlezie, to i wyleźć nie potrafi — rzekł bez namysłu i językiem cmoknął nagle dla zachęty.

— Nie dla mnie ubranie, jeno dla dziewczyny — zauważył niby nieznacznie Dziura i westchnął wspominając niezbyt obyczajną nagość Majki.

— Jak dla dziewczyny, to i dla dziewczyny — rzekł obojętnie krawczyk i natychmiast dodał domyślnie: — Czy na miarę, czy na oko?

— Bez miary — na oko — odparł pośpiesznie Dziura, czując pewną ulgę z powodu, że rozmowa dobiegła wreszcie właściwego celu.

— A jakąż jest na oko wysokość dziewczyny? — spytał krawczyk.

— Do ramienia mi dostaje, gdy, kibić¹⁵ prostując, głowę na karku wygodnie osadzi — wytłumaczył Dziura.

¹⁵kibić (daw.) — talia. [przypis edytorski]

— A za przeproszeniem — szerokość? — pytał dalej krawczyk.

— Szerokość? — zamyślił się Dziura. — Tyleż miejsca w pszenicy wyźłobi, co ta przepiórka, gdy skrzydłami zatrzepoce.

Powiedział to i gębę, jak furtę popsutą, zatrasnął, ale za późno.

— W pszenicy? — powtórzył krawczyk, nie tyle przyłapując Dziurę na słowie nieogłędnym, ile zastanawiając się poważnie nad wspomnianą szerokością.

— Dla przykładu jeno wziąłem pszenicę — rzekł wymijająco Dziura. — Sam nie wiem, czemu mi ta pszenica do łba się napatoczyła, jakby ją kto posiał tam na wiosnę. Ale już słowo rzekłem, więc go nie cofnę, bo nie mogę. Mogę jeno dla przykładu pszenicę owsem albo i koniczyną zastąpić.

— Nie potrzeba! — zapewnił usłużnie krawczyk. — Już ja wiem, jak ta dziewczyna wygląda! Ładna dziewczyna, zgrabna dziewczyna! Jakbym ją na własne oczy widział!

Mówiąc to zmrużył domyślnie oczy i zakolysał z zachwytem głową, luźnie zatkwioną na cienkiej, jak zwątlony dzierzak¹⁶, szyi, na ukos żyłą nabrzmiąłą przekreślonej.

Dziura spojrział machinalnie na tę szyję i w tę zmrużkę oczu przeciw słońcu, które, przedstawiając się z nieba ku samemu wnętrzu wsi, jak skrawiło po drodze dym, z pobliskiego komina wytchnięty, i czub brzozy, stojącej opodal w takim pochyleniu, jakby przed chwilą wiadra pełne wody na ziemi właśnie ustawiła.

Pochlebiała mu domyślność krawczyka.

— A któż by się tam za byle jaką dziewczką uganiał? — rzekł z samowitą brawurą w głosie i w spojrzeniu. — Niczego jej nie brak, prócz chyba kilku drobiazgów, grzesznej powłóce ludzkiej niezbędnych. Przede wszystkim tedy uszyjesz mi koszulę z płótna cienkiego.

— Koszulę — zakarbował w pamięci krawczyk.

¹⁶*dzierzak* — dłuższa część cepa trzymana w ręku przy młóceniu. [przypis edytorski]

— A jakże — potwierdził Dziura. — Od koszuli robotę zaczniesz, bo ciąu najbliższa. Potem letniczek¹⁷ fiołkowy sporządzisz.

— Fiołkowy — powtórzył znowu krawczyk, barwie wybranej kiwnięciem głowy przytakując.

— A na końcu kacabejkę¹⁸ watowaną, barchanem¹⁹ suto podszytą, zmajstrujesz, bo choć wiosna, aleć i wiosną, jeśli kto chce, chłodu się doszukać może — zawyrokował w zadumie Dziura, mając na względzie nieustanny pobyt Majki w wodzie jeziornej.

— Już ja jestem pewien, że się panu Dziurze moja robota spodoba, bo będę dla pana Dziury robił tak, jak dla siebie samego — rzekł krawczyk ze szczerym postanowieniem w głosie.

— Rób jak chcesz, czy tak, jak dla mnie, czy tak, jak dla siebie samego, bylebyś zrobił

¹⁷letniczek (daw.) — letnia sukienka. [przypis edytorski]

¹⁸kacabejka a. kacabajka (daw.) — kaftan, peleryna. [przypis edytorski]

¹⁹barchan — gruba tkanina z bawełny, lewostronnie włochata. [przypis edytorski]

uczciwie i bylebyś wszystko do przyszłej niedzieli wykończył.

— Będzie pan Dziura miał na przyszłą niedzielę jeno kłopot od samego oglądania gotowej roboty — zdążył jeszcze wtrącić w czas krawczyk, zanim Dziura ruszył w dalszą drogę ku swej chałupie.

Przechodząc koło młyna, zauważył pęczniejącą w ramie górnego okna twarz młynarzowej, na której policzkach, zbryzganych świeżymi rumieńcami, krwawiło się słońce poranne.

Uśmiechnęła mu się z góry, a on jej z dołu mimochodem się odśmiechnął.

Wszedłszy do chałupy, stanął w pośrodku izby, wyjął z zanadrza księgę, w mech oprawną, roztworzył ją i ciekawie zajrzał do jej tajemniczego wnętrza.

Szkoda doprawdy, że Dziura czytać nie umiał, bo naczytałby się takich cudów, o jakich nikt dokładniej niż ta księga nie mógł go powiadomić.

Stało w tej księdze po kolei o tym, co się pod wodą dzieje.

Stało tam o rusałkach, które się z mórz wyłaniają i tak cudownym śpiewem nęcą przechodnia, że — zasłuchany — zapada się w sen i nie postrzega nawet, jak sen jego, na pozór chwilowy, przeobraża się z wolna w sen wiekuisty. Snem wiekuistnym zaskoczony, nie potrafi nawet śmierci od śpiewu odróżnić, a nicości od swego zasłuchania. Rusałki mówią o nim: „zasłuchany”, a ludzie mówią: „umarły”.

Prócz rusałek są jeszcze Memozyny, które zwabionego samotnika na śmierć mogą białymi palcami załechtać, a śmiech konającego długo jeszcze po skonaniu trwa i błąka się w powietrzu, strasząc podróżnych i zakłócając ciszę leśną.

Prócz Memozyn są jeszcze Syroidy, co mają jedną rękę, jedną nogę i jedno tylko oko, a na domiar złego wszystko — lewe, nie wyłączając oka, tak że dla nich świat cały i Bóg, co go stworzył, po lewej stronie się znajduje, i z tego powodu, jak się raz w lesie zbłąkają, nigdy już wybłąkać się nie mogą, bo takie to niedołączne, że czy trzeba, czy nie trzeba — wciąż

jeno na lewo i na lewo bez ustanku skręca. A wolno tym Syroidom przez całe życie jedno tylko słowo powiedzieć. Po wygłoszeniu tego słowa w pianę się rozplywają i giną bez śladu, jeno wir na wodzie pozostawiając po sobie. Łatwo ten wir od innego wiru rozróżnić, bo ma zawsze lewy kierunek. Syroidy człowieka nad brzegiem stojącego lewicą chwytną, do wody ściągają i dopóty na dnie go trzymają, dopóki dusza jego wodą się nie zachłynie, a ciało do reszty nie zeszywnieje. Wówczas każda swemu topielcowi szepce do ucha słowo jedyne, które wyszeptać jej dano, i natychmiast w pianę się rozpierzcha. Wtedy topielec, z jej uścisków wyzwolony, zazwyczaj na powierzchnię wody wypływa. Ale nie wiadomo, co za słowo Syroida do ucha topielcowi szepcze. Słowa tego nikt nie zna. Aby je znać i wyszeptać należycie, trzeba mieć jedną rękę, jedną nogę i jedno tylko oko, i w dodatku wszystko, nie wyłączając oka — lewe.

Prócz Syroid są jeszcze Majki, ze wszystkich wodnic najpiękniejsze. Można je często

przyłapać w lesie, gdy, splątany warkoczem zawadziwszy o gałęzie, wiszą bezradnie, wyczekując pomocy ludzkiej. Częstokroć też i w zbożu nurkują, szczególnie w czasie Zielonych Świątek, bo jest to pora, gdy najwięcej wodnic po świecie się roi i błąka, czyhając na samotnych przechodniów. Majki umieją kochać ludzi i lubią miłość wyznawać.

O wielu jeszcze innych rodzajach mieszkank wodnych wspominała księga, którą ciekawie oglądał nieczytelny Dziura.

Bóg wiedzieć raczy, jakie myśli w tej chwili mitrężyły²⁰ mu głowę, to tylko pewna, że o czymś myślał. Myślał tak długo, aż postanowił księgę spalić, aby jej obecność w chałupie nie zdradziła przed ludźmi jego z Majką znajomości.

Kilka szczap smolnych w kominie rozniecił i księgę na szczapach odpowiednio umieścił. Zaledwie ogień, smołą wonnie i żarliwie sycony, dotknął mchów aksamitnych, księga spłonęła w oka mgnieniu, nie pozostawiając po so-

²⁰*mitrężyć* — męczyć; marnować czas, marudzić. [przypis edytorski]

bie ani węgla, ani popiołu. Spłonęła bez śladu — nie czytana i może nawet tym nieczytaniem z lekka urazona.

Dziura uczuł wyraźną ulgę na duszy, jakby mu kto ujął zbytecznego wysiłku zgłębiania tej księgi, której wszakże zgłębiać nie zamierzał. Myśl jednak, iż jest jej bezpośrednim posiadaczem, dręczyła go na kształt narzuconego przeciw własnej woli grzechu, którego wolał nie popełnić.

Uśmiechnął się z zadowoleniem, jakby znalazł przebiegłe a trafne wyjście z trudnego położenia.

Niech raczej ta księga zawczasu spłonie, niżbym miał poniewczasie sam w ogniu czyścicowym ku własnemu obrzydzeniu, jak to sadło zjełczałe²¹, skwierczeć — pomyślał rozsądnie. — Bóg mnie widać natchnął, zem się tej drukiem popstrzonej niestosowności pozbył.

Pomimo iż Majce jakoś nie dowierzał, wy-
czekiwał wszakże Dziura umówionej niedzieli.

²¹zjełczały — zepsuty. [przypis edytorski]

Wyczekiwał cierpliwie i spokojnie, z owym ładem w sercu, który zawsze postanowieniom jego tak gospodarczym, jak miłosnym towarzyszył.

Bał się jeno, że krawczyk-popsujko zamówionej roboty na czas nie wykona. Wszakże krawczyk słowa dotrzymał. Uszył, jak umiał, ale uszył.

Wprawdzie koszula miała wszelkie pozory przestronnej wsypy²² na pierze; a kacabejka od upchania watą i podszycia sztywnym barchanem była tak twarda i tęga, że uderzeniem młota nie pozbawiłbyś jej upartego, raz na zawsze przyswojonego, a zgoła przypadkowego kształtu, lecz za to letniczek był zgodnie z umową naprawdę fiołkowy.

Dziura do wspomnianych nabytków dołączył jeszcze kupione na jarmarku pończochy białe, trzewiki skórkowe, pierścionek z granatem i trzy bicze barwistych dętek²³.

²²*wsypa* — worek z materiału, do którego wsypuje się pierze, aby powstała pierzyna. [przypis edytorski]

²³*dętka* — tu: kolorowy lub srebrnobiały koralik z dmuchanego szkła. [przypis edytorski]

Wszystko to związał gruntownie w jeden ścisły tobołek i, skoro noc umówiona zapadła, udał się drogą do lasu.

A noc mu właśnie sprzyjała.

Gwiazdy na czystym niebie i sporsze się zdawały, i liczniejsze niż zazwyczaj. Wielka Niedźwiedzica aż się w oczy zewsząd rzucała, to dyszlem srebrnym, to płomienną resztą swego wozu skrząc się migotliwie. A Droga Mleczna napuszyła się wypukłe i tak wezbrała swym rozpowietrzonym srebrem, jakby z niej za chwilę nadmiar tego srebra miał się na ziemię rosą kroplistą przelać.

Dziura bez pośpiechu wszedł do głębiny lasu.

Zaskoczył go natychmiastowy mrok leśny i, pełna wonnej ciepłoty, parność zapartego w bujnym wnętrzu powietrza, które się pracowicie wsysało w kwiaty i w zioła przyziemne. Słysząc je było, jak dysząc ociężale i mozolnie, lgnie do mchów napęczniałych, do sęków gąbczastych i do sapowatej²⁴ kory dębów wilgotnych.

²⁴sapowaty — bagnisty, wilgotny. [przypis edytorski]

Pomimo ciemności czuć naokół zatajoną obecność świeżej, majowej zieleni, z wesołym pośpiechem gromadzącej się co chwila w tym lesie, niby w śpichrzu wonnym a nienasyconym.

Dziura wolnym a nieprzymuszonym krokiem zbliżył się wreszcie do jeziora i stanął tuż ponad brzegiem pieczołowicie ściskając pod pachą swój drogocenny tobołek.

Majki jeszcze nie było.

Dziura był pewien, że go na zawód nie narazi, a opóźnienia za złe jej nie brał.

Pewno musi się opóźnić, jeśli się opóźnia — pomyślał.

Na jeziorze trwała ruchliwa i krzątliwa pustka, to błyskiem nagłym, to zdążaniem donikąd spłoszonej zniecka fali zapełniana, pustka, która się nigdy oku nie uprzykrzy, a która zawsze ma coś do ukazania i coś do odmienienia w swym układzie i obrębie.

Księżyc się właśnie wytoczył na niebiosy i utkwiał nad jeziorem, jakby je szukał i znalazł.

Wydłużonym odbiciem zajaśniał w wodzie pod brzegiem przeciwległym i jał się tam dwoić i troić, i swe luźne szczątki skupiać znowu w całość pierwotną, do odwróconego wierzchołka odbitej sosny chwilowo przytwierdzo-
ną.

W tym właśnie czasie od owej strony, kędy jezioro, skręcając, w gęstwinie leśnej swój dalszy ciąg zatracalo, doleciał Dziurę śpiew młody, własną łatwością i swobodą rozzuchwalony.

Poznał Dziura Majkę po głosie.

Śpiew jej rozlegał się niewzbronnie w so-
czystym, ziołami nasiąkłym powietrzu, jakby się w tym powietrzu niewidzialne okna na oścież porozwierały, aby śpiewowi temu dać ujście i prze-
stwór niezbędny.

Dziura tym śpiewem zachęcony dobył ze dna kosmatej piersi narownego²⁵ nieco głosu i w takt melodii tobołek pod pachą, niby kob-
zę²⁶ posłuszną, naciskając, zawtórował basem

²⁵*narowny* — narowisty, trudny do opanowania. [przypis edytorski]

²⁶*kobza* — tu: dudy, instrument muzyczny złożony ze skórzanego miecha i przytwierdzonych do niego piszczałek. [przypis edytorski]

tak starannie, że mu grdyka, od nateżenia nabrzmiawszy, jęła z nuty na nutę podrygiwać sprężyste a skocznie.

Z umysłu²⁷ śpiewał gorzej i ciszej, niżby potrafił, bo wiedział, że rusałki mszczą się na tych, którzy je w powabach śpiewu prześcigną. A wiedział ponadto, że piołunu²⁸ się boją, więc na wszelki wypadek, dla większego bezpieczeństwa, zaopatrzył się w suty zapas piołunu, który w zanadrzu ukrył, jeszcze przed niedzielą uzbierawszy go w polu — popod lasem.

Czuł się tedy dobrze i z tym śpiewem na ustach, i z tym tobołkiem pod pachą, i z tym piołunem w zanadrzu.

Wszystko było w porządku i na miejscu.

Śpiew Majki coraz się zbliżał, jakbyś do skrzypki grającej ucho coraz mocniej przykładał.

Wciąż jeszcze wtórowaniem zajęty, spojrział Dziura na zaprószony księżycem zakręt jeziora, kędy sitowie rozwidnione jaśniało tą barwą,

²⁷z umysłu — dziś: z rozmysłu, celowo. [przypis edytorski]

²⁸piołun — roślina zielna o gorzkim zapachu i smaku, używana do aromatyzowania likierów i wódek (np. wermutu i absuntu) oraz jako lek na żołądek. [przypis edytorski]

która po nocy zieleń zastępuje, spojrzął i uśmiechnął się radośnie, aż mu się od tego uśmiechu głos, niechcący, na nucie przygodnej w poryk²⁹ nieproszony załamał.

Na zakręcie jeziora ukazała się wiotka i ku księżycowi wyprostowana postać Majki, płynącej ku niemu na jakimś przedmiocie, którego Dziura z dala określić nie umiał.

Ani łódź to była, ani tratwa.

Inny to miało bieg po wodzie i odmienne na fali rozpostarcie.

Majka wciąż śpiewała, a i Dziura wtóru swego nie zaniedbywał.

Gdy się zbliżyła na takie dosiężenie oka, że można ją było spojrzeniem z jeziora wprost do duszy przenieść, stwierdził Dziura, iż zamiast łodzi ma pod sobą łąkę pływającą.

Księżyc tę łąkę oświecił, wyodrębniając niemal każde źdźbło trawy bujnej, każdy kwiat, chwiejnym kielichem puszyście zawieszony. Wrzało na niej życie migotliwe i ruch ze światłem skrzętnie przemieszany, bo roiła się od moty-

²⁹poryk — krótki, donośny ryk jelenia; tu: załamanie głosu. [przypis edytorski]

li, od wazek i od świerszczów, których śpiew, z sypkich a pośpiesznych dźwięków sklecony, dolatywał już do brzegu i nabierał w ciszy nocnej doniosłości chóralnego a nierozwikłanego wrzasku.

Zamilkł zdumiony Dziura i zamilkła Majka, która do brzegu wraz z łąką pływającą dotarła.

Popatrzyli na siebie przez chwilę, jakby dawną znajomość raz jeszcze zawierali i umacniali.

Pierwsza przemówiła Majka.

— Śpiesz się! Noc krótka, zawsze za krótka! Skocz no z brzegu na moją łąkę, a popłyniemy razem dalej!

Nieśpieszno jakoś było Dziurze do udzielenego mu przez Majkę prawa przeskoku z brzegu na łąkę niebywałą.

— Skoczyłbym — odpowiedział z niepewną w głosie obietnicą — ale nie wiem, co tam na owej łące będę miał do roboty. Nigdy jeszcze takiej łąki ani deptał, ani kosił.

— Twoja to łąka, twoja własność, gdyż odda-
tąd wszystko, co posiadam, do ciebie należy —
rzekła Majka, dłonią cały obszar łąki wskazu-
jąc.

Podobały się Dziurze te słowa szczodre i ro-
zumne.

— Toć pewno, że mógłbym od biedy i na
tej łące jakoś się zagospodarować — rzekł w za-
dumie, oceniając okiem bujność trawy i ży-
wność ziemi. — Lękam się jeno, że masz wzglę-
dem mnie zamiary inne, prócz tych, którym się
odwzajemnić z całego serca pragnę.

— Kocham! — zawołała Majka i dłonie
obydwie wyciągnęła ku niemu z takim zapar-
ciem się tych dłoni, jakby mu wraz z nimi gło-
wę pod nóż oddać pragnęła.

Słowo to, z mocą powtórzone, uspokoiło
Dziurę.

— Niech się dzieje wola Boża! — krzyk-
nął nagle wniebogłosy, przeskakując z brzegu
na łąkę. — Może ta sama wola Boża dzieje
się i w tych dłoniach, co się ku mnie całe —

bez reszty wyciągnęły, jakby nic sobie ze swego czasu zostawić na własność nie chciały!

— Ta sama... ta sama... — uspokajała go Majka.

— A jeśli nie ta sama, moja w tym wina, żem jej od Bożej dla zbyt wielkiego podobieństwa nie rozróżnił! — zawołał, ugruntowując się na łące i rozpaczliwie miażdżąc pod pachą wypchany sownicie tobołek.

— Odbijam od brzegu — uprzedziła nieśmiało Majka, wyczekując przyzwolenia.

— Odbijaj, a z całych sił, pókim jeszcze na brzeg z powrotem ku własnemu wstydomi nie wyskoczył! — odpowiedział z zamkniętymi oczami Dziura, macając nieznacznie dłonią ukryty w zanadrzu zapas uzbieranego piołunu.

Popłynęli.

Zakołysała się łąka, zachwiały się kwiaty, zaroily się motyle, zadzwoniły świerszcze niestrudzone. Dziura oczy, dotąd zamknięte, rozwarł powoli.

— Jesteś przy mnie? — zapytał.

— Jestem! — ozwała się Majka z pobliza.

— A i ja jestem przy tobie — zauważył Dziura. — Zdawało mi się, że nim oczy otworzę, czar mnie jakiś w nicość rozwieje. Nie rozwiał.

Uśmiechnęła się na to Majka, lecz nic nie odrzekła.

Dziura tymczasem po jeziorze bacznie się rozejrzał.

Zmieniło się tak, że go nie poznał i do dawnego w żaden sposób pamięcią dopasować nie mógł.

Poszerzyło się i wydłużyło, i rozlało hen — bez krańców, niby morze. Gdziekolwiek okiem wprawnym rzucił — nieskończoność wodna, jakby nic na świecie prócz tego jeziora nigdy nie istniało.

Brzegów ani śladu, a księżyc na powierzchni nieogarnionej płachtę srebrną ściele, usuwając ją w dal, w miarę tego jak łąka pływająca ku niej się zbliża.

— Zmieniło się nieco jezioro — zauważył z niezadowoleniem Dziura i na Majkę ukosem zerknął.

— Zawsze ono w mych oczach takie, a nie inne — odrzekła Majka z prostotą. — Chciałam, żebyś na nie moimi oczyma spojrzął.

— I spojrzalem? — spytał Dziura ciekawie.

— Spojrzałeś — potwierdziła Majka poważnie.

Dziura zrozumiał, czemu tego pragnęła.

— Będę się zawsze odtąd na to jezioro twymi oczyma patrzył — przyobiecał w słodkim poczuciu jakiegoś radosnego ustępstwa.

Niepochwytne biegi łąki w dookolną, wodami polśnioną nieskończoność wyczuwał Dziura nie znanym mu dotąd a nieustannym zapodziejaniem się ciała w chłonącej je co chwila przestrzeni.

Nie wiedział wszakże, czy mu wyczucie owo przykrzy się, czy też przyjemność osobliwą sprawia.

Majka jeno od czasu do czasu wskazywała dłonią zamierzony kierunek, a łąka, posłuszna skinieniu, bieg swój ku stronie wskazanej zwracała.

Dziwował się Dziura temu biegowi, a przede wszystkim tej okoliczności, że skoro o sobie samym pomyślał, srebrniał we własnych myślach od księżyca i — cały srebrny, lotem porwany — pierzchał co chwila w nieskończoność.

Właśnie podczas jednego z takich pierzchnięć, gdy mocniej i rzęsiściej sobie samemu w myślach własnych zasrebrniał, przypomniało mu się, że Majki potrafią człeka najpoważniejszego na śmierć białymi palcami załechtać.

Prawiła mu o tym nieraz młynarzowa swojaczka, z którą się często na jarmarku spotykał. Na myśl o tym doznał dokuczliwego pod pachami niepokoju, jakby się tam mucha jakaś bzykając do lotu zerwała.

Z nieufnością spojrział znowu na Majkę.

— Umiesz ty człeka na śmierć załechtać?
— spytał, badawczo zasepiając czoła.

— Umiem — odparła Majka.

— A mnie na ten przykład — mogłabyś taką krzywdę palcami białymi wyrządzić?

— Od twego to rozkazu zależy — odrzekła Majka pokornie.

— Gdzieżbym ja tam takie rozkazy wydawał! — zaniepokoił się Dziura, wzgardliwie wzruszając ramionami. — I łechtliwy jestem, i nie po to mam duszę, abym ją spod pachy Panu Bogu obelżywie oddawał, jeno po to, abym ją po ludzku w godzinie ostatniej wyzionął.

Pomilczeli oboje, jeno łąka na skinienie Majki wzmogła swój bieg coraz niecierpliwszy, jakby jej śpieszno było do zaocznej w srebrnych oddalach bezpowrotności.

Dopiero teraz przypomniał sobie Dziura, że ma tobolek pod pachą.

Uśmiechnął się obiecująco i rzekł:

— Podarunek przyniosłem.

— Pamiętałeś o mnie? — szepnęła uradowana Majka.

— Pamiętałem — potwierdził Dziura, czując doniosłość swego potwierdzenia.

— Pokaż! — szepnęła Majka, pragnąc zapewne bezgraniczną i ślepą ciekawością zawczasu ów podarek godnie uczcić.

Dziura rozwinął tobolek powoli, z widoczną czcią dla zawartych w nim przedmiotów.

Wyjmował je kolejno i każdy z osobna trzymał w świetle księżycowym, aby Majka mogła nacieszyć się ich widokiem.

Majka cieszyła się i klaskała w dłonie z radości, lecz zbladła nagle i zmaląła w sobie, gdy Dziura ze dna spłaszczonego tobołka wyciągnął w końcu z dumą na światło księżycowe białe pończochy i skórkowe trzewiki.

Nic nie rzekła na to, jeno znów dłonią skinęła, nagląc łakę do biegu.

— Nie zabraknie ci teraz przyodziewku — ozwał się tymczasem Dziura. — Pomyślałem ja o tym, że wypada to ciało nagie, do grzechu lgnące, ogarnąć jakoś i osłonić, aby się nie czuło na tym świecie tak, jakby je kto z pierza oskubał. A i ogrzać je trzeba, bo woda je ziębi nieustannie.

— Nie wiem, jak się to wszystko wdziewa i w jakim porządku — zauważyła Majka, spod rżęs na własne ciało się bocząc.

— Sam cię wystroję, bo mi rąk nie brak — rzekł Dziura i zabrał się do roboty.

Wdział najwpierw koszulę, potem letniczek fiołkowy, potem kacabejkę watowaną. Zachowywał przy tym całkowitą w swej postawie nieruchomość, pracując jeno rękami, jakby końmi narownymi to z góry w dół, to odwrotnie powoził.

Majka wystrojona głaskała dłonią kacabejkę, odstającą sztywnie od jej smukłej kibici, na kształt dzwonu, którym wiatr z lekka zachwiewał.

Krawczyk-popsujko miał, po prawdzie mówiąc, krój niezbyt zręczny, lecz niezręczność tego kroju i obcość niedopasowanego ubrania wzmagała jeno niezależny od nich i niedostępny ich ujęciu czar postaci rusałczanej, jakby kto w kojcu kanarka uwięził.

Dziura dętkami barwistymi szyję jej okolił i spojrział z zachwytem.

— Tak teraz po bożemu wyglądasz, że można cię choćby i do wnętrza chaty wprowadzić, i na ławie usadowić, i czy to o jarmarku, czy to o innych sprawach ludzkich pogawędzić. Niech no ja jeszcze pończoch twym nóżkom bosym

przysporzę i trzewikami jak od święta obciążę, a będę mógł bez wstydu nawet i na kobiercu ślubnym z tobą stanąć, aby cię nie tylko z rąk twoich białych, lecz i z rąk Boga samego na własność dozgonną przyjąć.

I Dziura pochwycił w dłonie trzewiki i pończochy, aby stroju Majki dokończyć, lecz nagle jedne i drugie z rąk mu na kwiaty i na trawy bujne wypadły, płosząc roje motyli i wazek, skrzydłami ze sobą pogmatwanych.

Ogon rybi w całej okazałości stanął mu nagle przed oczyma.

Majka skłoniła głowę na piersi, jakby w bezradnym poczuciu winy niepoprawnej...

— Coś mi się widać we łbie pomąciło, gdym te pończochy i trzewiki nabywał — rzekł ze smutkiem Dziura. — Możem zapomniał, a może i pamiętać nie chciałem, aby pamięci tym ogonem rybim zbytnio nie turbować.

— Nie uznasz mnie? — spytała lękliwie Majka.

— Nie uznam — odparł z godnością.

— Nie prześlepisz miłością kalectwa mego? — spytała znowu.

— Nie prześlepię! — odrzekł z mocą.

— I nie nawykniesz nigdy?

— Nigdy!

Majka spojrzała na pierścień z granatem, którym Dziura uprzednio palec jej niemal dziecięcy ozdobił.

Łąka płynęła teraz tak szybko, że płachta, którą księżyc wzdłuż po niej rozesał, z błyskawicznym pośpiechem usuwała się spod niej i zdawała się zwijać ku niebu.

Dziura uczuł nagle nieodpartą tęsknotę do brzegu, do lądu, do gruntu stałego.

Zauważyła to Majka i zbliżyła się do niego.

Dziura nie cofnął się, jeno tęsknota do brzegu zwiększała się w nim i dolegała mu nieznośnie. Piołun w zanadrzu zagrzezał mu się i rozparzył.

Majka ruchliwymi nozdrzami zwęszyła zapach piołunu.

— Piołun pachnie — szepnęła zatrwożona.

Dziura spojrział na nią spode łba, utkwiał spojrzenie w ziemi i przemilczał odpowiedź.

— Masz go na piersi, w zanadrzu — mówiła Majka. — Boją się rusałki tego ziela, bo jego woń zatruwa je i niszczy. Wyjmij piołun z zanadrza i wyrzuć do jeziora.

— Niech sobie leży tam, gdzie dotąd leżał — odrzekł Dziura wymijająco. — Zawsze to bezpieczniej i zaradniej z piołunem na piersi do rusałki się zbliżyć. Albo ja wiem, co by mi się przytrafiło, gdybym bez tego piołunu porozumiewał się z tobą? Może nie tyle przez złą wolę, ile z nałogu i z przyrodzenia samego ściągnęłabyś mnie do jeziora, aby mnie w topielca zamienić.

Oczy Majki zapłonęły ogniem niezwykłym.

— Topielec czaruje nas, rusałki, swą bladeścią, bo my słabe i kruche, a on pieścizotom naszym bezoporny — szepnęła nagle, wdychając jadowitą dla niej woń piołunu.

— Chciałabyś, abym swój opór w śmierci zatracił? — spytał nieco chełpliwie Dziura,

dziękując w duszy sobie samemu za uciulany zapobiegliwie zapas piołunu.

— Chciałabym — odrzekła z prostotą Majka.

— Toteż wolę piołunem się od ciebie przegrodzić, niż, wszelką przegrodę usunąwszy, ze śmiercią się spotkać w twych objęciach — zauważył Dziura, czując, że mu dreszcz po karku przebiega i ni to straszy, ni to kusi...

— A skąd ty wiesz, z którym dziwem w objęciach mych się spotkasz? — szepnęła Majka. — Usuń przegrodę, bo czas!

— Nie usunę! — odparł Dziura stanowczo i szeroką dłonią uderzył się w pierś, w to miejsce, gdzie piołun się znajdował.

— Zamieszkaj razem ze mną na dnie jeziora! — zawołała Majka z rozpaczliwą prośbą w głosie.

— Żywcem? — spytał Dziura.

— Żywcem albo śmiertelnie — odrzekła Majka. — Jak postanowisz, tak się stanie. Mówię do ciebie po rusałczanemu, bo nie umiem inaczej i nie mogę, a ty te słowa moje z lę-

kiem odpychasz, że nie ludzkie, nie twoje, ziemią nie spylone i strzechy nad sobą nie mające... Dlatego się boisz tych słów i nie chcesz ich ramieniem ku sobie, jak sierpem, przygarnąć. Pomyśl sam: czy wierzysz w to, że ci coś złego pragnę uczynić?

— Jak pomyślę, to wierzę — odparł Dziura — a jak nie pomyślę, to i myśl taka do głowy mi nie przychodzi.

Powiedział to i dorzucił natychmiast:

— Ot już i pomyślałem niechcący...

Majka bezsilnie opuściła dłonie i cofnęła się wstecz ku kwiatom.

Woń piołunu i ciężar watowanej kacabejki zmęczyły ją i zniewoliły do milczenia.

A w duszy Dziury tęsknota do stałego gruntu, a dokładniej mówiąc, do onej popielatki, którą przez całe życie uprawiał, tak się rozrosła i rozpanoszyła, że chętnie by się, podróżą strudzony, i do snu wiekuistego ułożył, byleby mu w tej popielatce dół motyką wykopali.

— Pilno ci do brzegu? — spytała Majka.

— Jużci, że pilno — odpowiedział.

— Czy zaraz chcesz wracać?

— Upraszałbym, jeśli łaska — rzekł Dziura z nagłą pokorą w zmienianym nieco głosie.

Majka skinęła dłonią i zanim Dziura zdążył cokolwiek zmiarkować, ujrzał tuż przed sobą brzeg upragniony.

Co tchu z łąki na brzeg wyskoczył.

— Przyjdź w następną niedzielę, będę czekała — rzekła Majka głosem zmęczonym i bezsilnym.

Dziura się odwrócił, aby ją pożegnać, lecz nie było już ani Majki, ani łąki pływającej.

Jeziro zmałało, ułożywszy się po dawnemu w swym zwykłym, drzewami zaznaczonym obrębie.

Zdążył jeszcze Dziura postrzec, jak się jeziro cudotwórcze nabytego bezmiaru pośpiesznie wyzbywa i jak, gospodarnie uprzątając kędyś³⁰ spłoszone resztki zaklętego ogromu, stara się wysiłkiem wód rozpasanych nacichnąć i znieruchomić w swym przyrodzonym ograniczeniu.

³⁰kędyś (daw.) — dokądś. [przypis edytorski]

Księżyc na jego pomarszczonej nocnym powiewem równi rozmnożył się teraz w niepodzielną a do upatrzonego miejsca luźnie przytwierdzoną gromadę paciorów srebrnych, które, wyłuskując się nawzajem ze siebie, zdawały się nie przekraczać w swych jednoczesnych zanikach i narodzinach umówionej raz na zawsze liczby.

Tę liczbę bezimienną mając mimo woli w oku, westchnął Dziura zawzięcie i poczuł w sercu ulgę z powodu, iż pod stopami miał grunt stały, a naokół zwykły porządek śmiertelnych a drogich mu rzeczy.

Zachciało się duszy na wywczasie³¹ pogrzeżyć, a Bóg jej ani czarów nie poskąpił, ani jej powrozami na bezdrożach nie skrępował, bo nie chciał jej, widać, wolnej woli ująć, jako tej darowizny szczupłej, którą, niby kęs czarnego chleba, od wieków spożywa, a spożyć ani umie, ani może — pomyślał Dziura, głowę na piersi dla tym lepszego myślenia zwieszając. — To tylko pewna, że widział mnie Bóg naocznie,

³¹*wywczas* (daw.) — odpoczynek. [przypis edytorski]

gdym na owej łące chyżej tkwił, jak ten groch potyczony³², i gdym pokusę własną w kaca-bejkę watowaną odświętnie wystrajał, i gdym na palec biały, niejednym zapewne grzechem splamiony, pierścień z granatem radośnie wkładał. A i to widział, jak pończochy białe i trzewiki skórkowe, dla nóg ludzkich mozolnie i uczciwie sporządzone, chciałem ogonowi rybiemu niewiadomym sposobem przytroczyć.

Przeżegnał się Dziura i wolnym krokiem wyszedł z lasu na drogę, a drogą do wsi się udał, która z dala migąła jednym tylko światełkiem w szybie odosobnionej chaty, bo zresztą od pól daleko jaśniejszych odrzynała się ciemność białym kominem tu i ówdzie, jak chustą na odjezdnym, powiewająca.

Wróciwszy do chałupy, spać się położył.

Skrucha i wiosna tak go rozebrały, że zasnął od razu, zaledwo zdążywszy światu całemu na pożegnanie ziewnąć z przeraźliwym, do gwałtownego szcęknięcia podobnym, hałasem.

³²potyczony — przywiązany do tyczki. [przypis edytorski]

Zazwyczaj miewał sen bez widzeń, lecz tej nocy widzenia go dręczyły.

Przyśnił się sam sobie jako topielec, na dnie jeziora rozpostarty. Wiedział, że jest bezbronny i bezoporny pieszczotom rusałczanym, a właśnie ruchliwe mrowie rusałek oblegało na wypródki jego zwłoki, kraszy dawnej jeszcze nie wyzbyte, które dla pożądlivych warg były snadź strawą wybredną.

Czuł pod pachami łechtania nieznośne białych, zimnych palców i śmierć własna, zamiast dać ciału wypoczynek, dolegała mu niby okrutna zaraza.

Pożałował siebie, na dnie jeziornym bez niczyjej opieki samotnie poległego, a chociaż nigdy na jawie nie płakał, tym razem jął przez sen popłakiwać rzewnie nie swoim, jeno niewieścim zgoła głosem, jakby mu dusza do cna w tym śnie zbabiała.

Ocknął się w końcu, przysłuchując się własnemu, samodzielnie wciąż jeszcze trwającemu płaczowi, rękawem łzy z kątów ślepi rozrzewnionych otarł troskliwie, a jednocześnie gębę

po własnej woli szlochającą przyłapał dłonią i stłumił.

Rozejrzał się potem po chacie, przeżegnał się i jak zaczął się bać, tak bał się już do samego rana.

Żadna go siła od tego strachu, jak od roboty w polu, odciągnąć by nie mogła, bo czegokolwiek Dziura się jął, to lubił do końca doprowadzić.

A nie tylko się bał czynów na jeziorze popełnionych i owej niewiadomości, która z nich wynikała, lecz i samego strachu, który go nawiedził, a którego siedlisko było nie w nim, lecz gdzieś poza nim — w ciemności.

Siadł ten strach na jego duszy, jak kruk na ziemi zoranej, i nic nie mówił, jeno ciągiem³³ siedział a siedział.

Zrozumiał nagle Dziura, że otumaniała go Majka i czarami uwiodła, aby, grzechem obciążonego, ku sobie zniewolić, a potem śmierć mu podwodną dla swoich zamiarów rusałczanych zgotować.

³³*ciągiem* (gw.) — ciągle, bezustannie. [przypis edytorski]

Śmierci uniknąłem, alem grzechu nie uszedł!
— myślał Dziura, bojaźń Bożą gorliwie w du-
szy rozniecając. — Nie dla mnie te schadzki po
księżycu i te dłonie białe, pracą nietknięte. Tak
mi z tym do twarzy, jak kobyle we wianku ru-
cianym³⁴! Źle się dzieje, gdy człek nie do swo-
ich rzeczy się kwapi. Po cóż mi było, u licha, jej
oczyma na jezioro poglądać i cielskiem niena-
wykłym tłoczyć się w ową nieskończoność, do
której dusza moja ani się przypiąć, ani przyłatać
nie mogła!

Postanowił tedy, że już odtąd wszelkich schad-
zek z Majką poniecha.

I poniechał.

Minęła jedna niedziela i druga, i trzecia,
a Dziura do lasu nosa nawet nie wściubił.

Mijały te niedziele tak, jakby mijając gro-
madziły się nad brzegiem jeziora i wzięwszy się
za ręce, patrzyły kędyś w oczekiwaniu i racho-
wały się nawzajem, że jest ich tyle a tyle.

³⁴*ruciany* — zrobiony z ruty, rośliny z drobnymi listkami i żółtymi kwiatkami, używanej jako ozdoba; wianek ruciany to symbol panieństwa. [przypis edytorski]

Dziura bowiem był pewien, że Majka żadnej niedzieli nie opuszcza i wyczekuje go wier-
nie w umówionym miejscu.

Uczułyby nawet urazę i smutek poniektóry,
gdyby zawiodła tę wiarę i pewność.

— Niech czeka! — mówił do siebie, uśmie-
chając się pod wąsem. — Ani się obejrzy, jak
wieczność jej na tym czekaniu zejdzie.

Dawny spokój i ład powrócił mu do duszy,
gdy nagle pewnej nocy niedzielnej, do snu się
właśnie układając, posłyszał w kącie szelest.

Nie chciało mu się głowy od lgnącego do
niej snu odrywać.

Niech no jeszcze raz zaszeleści, a obejrzę
się i rozpoznam — pomyślał. Zaszeleściło po-
wtórnie.

Niech no trzeci raz zaszeleści, a już pew-
nikiem się zniecierpliwię i zajrzę — pomyślał
znowu.

Zaszeleściło po raz trzeci.

Spojrzał Dziura w stronę szelestu, a tam na
podłodze coś się złoci i porusza.

Nic, jeno porusza się i złoci.

Księżyc właśnie do izby przez szybę wkroczył i skośne odbicie okna wydłużył na podłodze tak, jakby chciał przez to odbicie okienne zobaczyć, co się tam pod podłogą dzieje.

Na tym odbiciu coś się w tej chwili złociło i poruszyło. Snop żytni czy diabeł z dukatem w gębie? — pomyślał Dziura i wzroku natężył.

Natężył wzroku i poznał.

Ni mniej, ni więcej, jeno warkocz Majki złocił się w kącie na podłodze i z widocznym wysiłkiem pełznął ku niemu jak żywy.

Zdrętwiał Dziura i wybełkotał jakieś słowo, którego sam zresztą w popłochu nie dosłyszał, a które zapewne określać miało stan jego obecny.

Warkocz, tym bełkotem widać ośmielony, pełznął coraz pośpieszniej. Przeżegnał się Dziura w pół drogi, ale znak krzyża w poprzek mu nie stanął i zamiarów jego nie pohamował.

Warkocz aż do stóp mu się przyczoił i tam nieruchomiejąc zwinął się w kłębek jak wąż, snem zimowym zdjęty.

Porwał się Dziura na równe nogi i wybiegł z chaty na świat, rzemień od portek w biegu poprawiając, a warkocz za nim w te pędy, jakby się bał go z oczu, których nie miał, stracić.

Ubiegł Dziura kilka kroków od chaty, lecz widzi, że warkocz go ściga nieodstępnie, puszając się i złocąc od pośpiechu.

Dziura — na lewo, warkocz — na lewo.

Dziura — na prawo, warkocz — na prawo.

Ani się odczepić od niego, ani mu umknąć, ani go się dobrym słowem pozbyć. Chwycił Dziura kamień i cisnął.

Kamień w warkocz ugodził.

Zalśnił się warkocz złociściej od tego pociśku i znów do Dziury pełźnie.

Kopnął go Dziura nogą, a on u stóp mu się uklada i łasi się, i waruje, jak ten pies wierny, którego ani kopnięciem, ani kamieniem odegnać nie można.

Zawstydzził się Dziura swego uczynku i od wstydu złagodniał.

Łeb mi się pewno snem zbytńio zaprószył, zem się warkocza dziewczęcęgo uląkł! — po-

myślał, krzepiąc się na duchu. — Nie bałem go się, gdy głowę Majki zdobił, a zatrwożyłem się teraz, gdy samopas po ziemi, jak robak bezdomny, pełźnie. Niech sobie pełźnie, jeśli mu przytułku na świecie zabrakło.

I znów wszedł do chaty.

Warkocz za nim.

Dziura tę noc spędził bezsennie, wpatrzony w warkocz, który, złocąc się usilnie, noc całą u stóp jego przeleżał.

Nad ranem dopiero wypełznął z chaty za próg i znikł żywcem, jak żywcem się zjawił.

Do następnej niedzieli nie było jakoś ani szelestu w chacie, ani warkocza.

Miał już Dziura nadzieję, że się ta zjawanie powtórzy. Mylił się jednak. Skoro niedziela nastąpiła i noc zapadła, warkocz znowu chatę jego nawiedził, aby swe brzemie złote u stóp Dziury pod jednym z nim dachem przenocować.

Trza będzie do znachora³⁵ po radę się udać
— zawyrokował Dziura.

I poszedł do znachora.

Był wieczór.

Znachor mieszkał za wsią, w małym lipniku, którego długie cienie wybiegały daleko poza dany im zakres, co chwila układając się inaczej na murawie niskiej, w świetle wieczornym, każde źdźbło z osobna rozwidniającym.

Zdawało się, że od ruchu tych światel i cieni ludno jest w lipniku i że panuje tam pośpiech nieokreślony oraz nieustanna zmiana miejsc na murawie, jakby tam szukano kogoś, kto się jednocześnie za wszystkimi drzewami ukrywał...

Szczupła chałupa, wśród lip przejrzyste zatajona, miała dwa kominy. Jeden — do połowy rozwalony, bezczynny i bez żadnego użytku, jeno przez pamięć dla minionych zasług na dawnym miejscu sterczący, a drugi nieco opodal — czynny i wzrostem górujący pierwszemu.

³⁵znachor — samouk zajmujący się leczeniem ludzi i odczynianiem uroków.
[przypis edytorski]

Z drugiego właśnie komina wysnuwała się równa i wiotka struga bezwolnie uchodzącego dymu, który na pewnej wysokości tracił skupioną równowagę i z lekka opadając, rozluźniał się w drobne i zawile kędziory, mrowiące się aż do zaniku w purpurze wieczornego słońca.

Chałupa miała drzwi tak niskie, że chyba krasnalek albo garbusek mógłby przez nie wniść³⁶ swobodnie. Pomimo to właściciel chałupy był niemal olbrzymem i wszystkich mieszkańców wsi wzrostem prześcigał.

Zastał go Dziura stojącego na środku jedynej izby, z głową nieco pochyloną dla uniknięcia zbyt niskiego pułapu.

Tkwiał w ciasnocie izby na kształt owego dębu, wokół którego altanę dla sposobności sklecono, biorąc dąb za ośrodek i podporę.

Tkwiał w bezruchu, czy to dlatego, że nic innego nie miał na razie do roboty, czy też dlatego, że mu tak było najwygodniej i najzwyczajniej.

³⁶wniść (daw.) — wejść. [przypis edytorski]

Wąs miał siwy, obwisły, dwojgiem sutych strzępów zasłaniający całą dolną część twarzy, jakby ta część była zbyt duża lub zaniedbana. Za to część górna odznaczała się czołem łagodnie szerokim i oczyma piwnymi, które patrzyły surowo, lecz dobrotliwie.

Pomimo siwizny wąsów, czuprynę posiadał kruczą jeszcze i bujną.

Znać było, że lubił wygodę, utulność i zadowolnienie się drobiazgowo gospodarne, bo miał i ławę, i zydle³⁷, i kufer, codziennym czyszczeniem wygładzony, i pościel olśniewająco białą, z doborem poduszek od największej do najmniejszej, i stół, podarunkową zapewne i niezwykle wzorzystą serwetą nakryty, na stole zaś gąsiorek z nalewką wiśniową własnego przyrządzenia.

Po kątach zieleniały wiązki świeżego tataraku, którego woń, zmieszana z jakimś parnym i jakby chlebowym zapachem ścian pobielanych, napełniała wnętrze izby.

³⁷zydel (z niem. *Sidel*) — drewniany stołek a. krzeselko. [przypis edytorski]

Na jednej ścianie barwił się starannie okurzany obraz Matki Boskiej w wieńcu z kwiatów zasuszonych, a obok obrazu wisiało w cienkiej ramie dębowej błogosławieństwo z napisem: *Pokój temu domowi.*

Wisiała też, do środka pułapu przytwierdzona, a własnoręcznie przez znachora wystrugana, klatka z kanarkiem, w którą teraz właśnie, stojąc w izbie, patrzył tak, jakby wzrok w dali nieograniczonej utkwiał, chociaż miał tę klatkę tuż popod nosem.

Powitał gościa nieznacznym skinieniem brwi i obojętnie, dając do poznania, że chata jego nawykła do tego rodzaju odwiedzin.

Dziura stanął w milczeniu i ze czcią.

Przestępując próg tej chaty, czuł przyjemny zamęt w głowie, za którą teraz inna, wprawniejsza głowa pomyśli, ujmując jej brzemienia i kłopotu.

Znachor milczał uparcie, jakby nagle podwoił swe milczenie. Dziurze wydało się, że zapomniał o jego obecności, lecz nie śmiał tak wzmożonego milczenia przerywać.

Potrzebne mu widać to milczenie — pomyślał. — Pewno się do rozmowy przyspasabia albo wiedzę w pamięci gromadzi i gruntuje...

— Przyszędłeś? — spytał nagle znachor w chwili najmniej dla Dziury spodziewanej, lecz oczu od klatki z kanarkiem nie odrywał.

— A jużci — potwierdził Dziura.

— Nie byłeś dotąd u mnie — zauważył znachor ze źle ukrytym żalem i spojrział na Dziurę tak, jakby go za ową niebytność strofował i karmił.

— Powód się jakoś nie trafiał — odparł Dziura z poczuciem winy nieokreślonej.

— A teraz trafił się? — spytał surowo znachor.

— Trafił się — pochwycił Dziura.

— Po to istnieje na świecie ów powód, aby się ludziom trafiał — rzekł znachor i wskazał dłonią miejsce na ławie popod ścianą.

Dziura usiadł.

Co to on teraz mi powie? — pomyślał ciekawie.

Znachor zydel przysunął i też usiadł — na wprost Dziury, aby go spojrzeniem surowym badać uporczywie.

— A wiesz ty — spytał nagle głosem uroczyście jednostajnym — a wiesz ty, że praojciec nasz Adam, zanim grzechem się splamił, miał skórę rogową, której się żadna śmierć nie miała?

— Nie wiedziałem o tym — odparł Dziura, prostując się nieco i sztywniejąc na ławie.

— A wiesz ty — rzekł znowu znachor — że na Ziemi Indyjskiej jest rzeka Dzumna, w której czarownice topią? Woda tej rzeki czarna jest i drzew nadbrzeżnych nie odbija. A kto się tej wody napije, ten nie tylko pragnienia nie ugasi, lecz umrze i po śmierci jeszcze wargi spiekłe, jak do picia, składa i wargami tymi, w grobie leżąc, wilgoć z ziemi wysysa, aż ziemia w tym miejscu pęka od posuchy. Wiedziałeś o tym?

— I o tym nie wiedziałem — odrzekł Dziura i uczył, że wiedza znachora poczyną już działać należycie.

— A wiesz ty, że przez wylot sęka w trumnie diabła zobaczyć można? — mówił dalej znachor. — Najlepiej go w Wielki Piątek oglądać i wówczas pisanką tak weń utrafić, aby mu ze łba czapkę niewidomską strącić. Pozbawiony tej czapki dla wszystkich widzialny się stanie. Widywałeś go kiedykolwiek?

— Gdzieżbym ja go tam widywał! — odrzekł Dziura. — Nieuczony jestem i sposobów nie znam. A jeśli go nawet i widywał, nie wiedziałem pewno, że to właśnie on, a nie kto inny, bo i czegoż się czasem na tym świecie człek nie dopatrzy!

— Widywałem go nieraz — rzekł znachor, ręką niedbale machnąwszy. — I on mnie widywał, straszył, straszył, aż i znikł, sam widać nastraszywszy się czegoś niespodzianie.

Znachor zamilkł.

Nagle jego milczenie nappełniło Dziurę trwożą, tym bardziej że znachor jął się weń wpatrywać coraz mozolniej i nieodparciej. I znowu, w chwili dla Dziury najmniej spodziewanej, ukryte w wąsach wargi znachora poruszyły

się, jak węże w oczeretach³⁸, po to tylko, aby tym razem wyszeptać jakieś zaklęcia, ze słów dziwnych i niepochwytnych złożone. Słów tych Dziura starał się nie usłyszeć, wiedząc z góry, że ich nie zrozumie i jeno trwogi bezpotrzebnie sobie przysporzy.

A znachor mruczał i mruczał, zasypując go wciąż tymi słowami, którym końca, zda się, nie było.

Jeśli tych słów nie ukróci, głowa mi pewnością wniwecz się zamroczy i — nie daj Boże — zdębieje na karku, jak ta kapusta, co w kół poszła — pomyślał Dziura, oburącz za ławę się dzierzając, aby głowie podpory jakiegokolwiek ciszkiem dostarczyć.

Na szczęście znachor przerwał swe zaklęcia.

Już się przysposobił i ma wszelką radę na pogotowiu — pomyślał Dziura z ulgą na duszy.

— Powiadaj, co się przytrafiło — spytał nagle znachor, po raz ostatni surowo brwi ściągając, gdyż twarz jego przybrała właśnie wyraz dobrotliwy a poufny, jakby chciał się dokład-

³⁸oczerety — zarośla nadbrzeżne. [przypis edytorski]

nie i rozumnie wtajemniczyć w niedolę swego gościa, aby tę niedolę odpowiednim lekiem trafnie uzdrowić.

Dziura nabrał tchu i znieruchomiał, aby słowom własnym nie przeszkadzać.

— Tak a tak — zaczął głosem, jaki zazwyczaj na spowiedzi ze siebie dobywał, i opowiedział wszystko od początku do końca — od chwili, gdy Majkę w pszenicy przyłapał, aż do czasu, gdy jej warkocz chatę jego nawiedził.

— Nawiedza mnie co niedziela, gdy noc nastanie, i spać mi nie daje, niby jakiś dusiołek³⁹ złoty, którego ani sen ludzki, ani spokój nie obchodzi, jeno to go korci, aby się w swojej godzinie zjawił i swą pańszczyzną nocną odrobił — skarżył się Dziura, wzdychając ciężko na słowach najbardziej westchnienia godnych.

Znachor słuchał uważnie, miarkując coś i starając się zapewne nieszczęście Dziury ze znanymi mu a skrętnie w pamięci przechowywanymi wypadkami porównać i ocenić.

³⁹*dusiołek* — w polskich wierzeniach ludowych demon odwiedzający nocą śpiących i próbujący ich dusić, potrafi przybierać postać jakiegoś przedmiotu lub istoty żywej. [przypis edytorski]

Widać było po nim, że Dziury z całego serca żałuje i że chce mu wedle sił dopomóc.

— Próbowałaś go przeżegnać? — zapytał.

— Próbowałem.

— I cóż?

— I nic — odparł Dziura — nie uląkł się znaku krzyża.

— Bywa tak, że się dusiołki znaku krzyża nie boją — zauważył znachor i zadumał się głęboko.

Dziura czekał cierpliwie na radę.

Znachor wreszcie głowę po namyśle odchylił i brwi ku górze podniósł, jakby chciał się Dziurze lepiej przyjrzeć.

— Mam radę — rzekł, obrzucając go wzrokiem od stóp do głów — słuchaj uważnie i uczynь wedle słowa rzonego. W niedzielę wieczorem wodą święconą palce zwilżysz i żadnego jądła nimi nie tykaj. Gdy się dusiołek w chacie twojej po nocy zazłoci, ujmij go w te palce, wynieś z chaty i po jednym włosku na cztery strony świata rozrzucasz. Rozwieją się te włosy po obszarach ziemskich i już się nigdy w war-

kocz nie splotą. W ten sposób pozbędziesz się dusiołka, a jeśli i ten sposób nie pomoże, wówczas jedno ci tylko pozostało: przyzwycząić się do onej zjawy tak, aby swoją obecnością snu twego nie naruszała.

— Możliweż to? — spytał Dziura.

— Możliwe — potwierdził spokojnie znachor. — Niedaleko sięgając, ojciec mój nieboszczyk miał takie najście w swym życiu. Co noc go dusiołek nawiedzał i — łatwo powiedzieć — w kształcie wieprza wędzonego.

— Wędzonego? — spytał Dziura.

— Wędzonego — powtórzył znachor, kładąc dumny nacisk na tej niezwykłej okoliczności. — Czego nieboszczyk nie czynił, aby się od dusiołka odczepić! Nic nie pomogło. Co noc przychodził, koło tapczanu stawał i swym wędzonym mięsiwem pachniał w sam nos łasemu na przysmaki nieboszczykowi, odbierając mu sen owym nieproszonym zapachem. Pewnej nocy wziął się na niego nieboszczyk. „Poczekaj no, sobako⁴⁰ wędzona! — powiedział czy

⁴⁰*sobaka* (pot., z ros.) — pies (tu wyzwisko). [przypis edytorski]

to w głos do wieprza, czy też nie w głos, jeno w myśli do siebie, już nie pamiętam dokładnie, jak było. — Poczekaj no, sobako wędzona! Nie popsujesz mi snu ani swą osobą, ani zapachem, bo się na przekór twym zamiarom i do osoby, i do zapachu przyzwyczaję!” I jak się zaczął przyzwyczajać, tak się przyzwyczaił. Odtąd nie tylko spał smacznie pod jednym dachem z dusiołkiem, lecz jeśli wypadkiem dusiołek się opóźnił, nieboszczyk zasnąć nie mógł i wyczekiwał go niecierpliwie. Tak się z tym dusiołkiem zżył i tak go oswoił, że mu ten wieprz zjawiony już to chrząkaniem, już to innym jakim wedle swych sił wędzonych sposobem wdzięczność okazywał. A gdy nieboszczyk umierał, głosem od bliskiej śmierci słabowitym rzekł: „Pewnie, że snu wiekuistego pod jednym dachem z onym dusiołkiem nie spędzę, bo wara mu pod ten dach łeb swój wędzony wściubiać smakowicie! Nie taki to dach, aby mógł być wspólnym dla wszystkich bez wyboru! Obędę się jakoś na tamtym świecie bez mego towarzysza, jeno nie wiem, jak to on beze

mnie na tym padole doczesnym sobie pora-
dzi?” I umarł nieboszczyk, lecz po jego śmierci
dusiołek już się nie zjawił. Tak to bywa na zie-
mi, że się czasem człowiek z człowiekiem nie
pobrata, a ze zmorą się pokuma i na całe ży-
cie zwiąże, jak ten dąb z jemiolą. Zastanów się
i ty nad tym, czybyś nie potrafił, jeśli rada mo-
ja nie poskutkuje, z dusiołkiem swoim jakie-
goś pożycia wspólnego zarządzić. Bo, choć ów
warkocz rusałczany w twej chacie, jak ta ku-
kułka w cudzym gnieździe, bezprawnie prze-
bywa, lepszy on na wygląd od innych dusioł-
ków i bardziej ci się udał niż nieboszczykowi
— wieprz wędzony. Kto wie, czy po śmierci
do zmory własnej nie zatęsknisz, która ci się
już w martwych ślepiach nie zazłoci? Wszyst-
ko się zdarza i na tym, i na tamtym świecie, bo
od tego są te światy rodzone, aby się na nich
wszystko wedle możliwości zdarzało. A łatwo się
tęsknocie zdarzyć po śmierci, bo lubi bezpow-
rotność i nie znosi odszkodowania. Niech się
ten warkocz złoci w kącie — na podłodze, a ty

śpij spokojnie i nie turbuj duszy tymi złocistościami.

Znachor mówił o zmorach tak, jak się mówi o chwastach, które z ziemi nie zawsze trzeba wyrywać i wśród których są bardziej i mniej szkodliwe, a są nawet i niewinne. Zapewne dusiołka Dziury do niewinnych zaliczał. Po prawdzie rzekłszy, spodobał mu się w głębi duszy ten dusiołek, a w każdym razie nie czuł doń wstrętu ze względu na kształt i barwę, którą przybierał.

Spojrzał teraz badawczo na Dziurę, chcąc sprawdzić, czy go pocieszył i czy dość ulżył jego frasunkowi⁴¹.

Twarz Dziury nie zdradzała ani ulgi, ani pociechy, ale jednocześnie nie zdradzała żadnych innych uczuć, prócz tego chyba zobojętniałego nieco i milczącego oświadczenia, że jest tą samą, co zawsze, twarzą Macieja Dziury.

Poruszał jeno usilnie szczękami, jakby dogryzał czy dojadał jakąś spożywczą, a ukrytą w gębie skamieniałość. Nadmiar zadumy po-

⁴¹*frasunek* (daw.) — zmartwienie. [przypis edytorski]

budzał go zapewne do tej mimowolnej pracy szczękami.

Spostrzegł to wszystko znachor i, niby mimochodem, dorzucił:

— Taka jest rada moja, a nikt ci we wsi trafniejszej nie udzieli. Nie z wypadku jestem znachorem, jeno z przeznaczenia. W poniedziałek się urodziłem i w poniedziałek od piersi mnie odstawiono. Dlatego też znachorem zostałem i w poniedziałki pouczam.

W głosie znachora czuć było wrodzoną mu dobrotliwość i łagodność. Niektórym wszakże słowom nadawał przynależną im osobiście powagę i wymawiał te słowa surowo i jakby napominawczo. Tym razem słowo „poniedziałek” dostąpiło rzeczowego wyróżnienia.

Dziura westchnął, aby tym westchnieniem rozmowę zakończyć, pożegnał znachora i wyszedł.

Zżywać się z dusiołkiem nie chciał. Sama myśl o tym napełniała go wstrętem i odrazą. Nie po to na świat przyszedł, aby się ze zmorą zwąchać i zbratać. Dowiedzą się ludzie o tych

noclegach niedzielnych i będą chatę jego omi-
jali jak zarzoną. Cóż to bowiem za chata, w któ-
rej straszy? I jakaż to dziewczka poślubi chło-
pa, który samowtór⁴² z dusiołkiem noc spędza
i bezsennością się trapi?

Postanowił tedy Dziura przede wszystkim
spróbować doszczętnego rozwiania warkocza na
cztery świata strony.

Doczekał się cierpliwie niedzieli i palce w ko-
ściele wodą święconą starannie zwilżył. Żadne-
go jadła tymi palcami nie dotykał i gdy noc
nadeszła, z biciem serca czatował w chacie na
zjawienie się warkocza.

Warkocz zjawił się o swojej godzinie i, jak
zazwyczaj, zazłocił się w kącie na podłodze.

Dziura zbliżył się doń ostrożnie, ujął go w pal-
ce i wyniósł z chaty.

Noc była gwiaździsta. Wieś spała. Czasem
jeno ozwał się z dala pies samotny, który wy-
dłużonym w ciemności a nie wiadomo dokąd
skierowanym wyciem tak wszystko naokół po-
mijał, jakby chciał się wraz z swym bólem od-

⁴²*samowtór* (daw.) — sam z kimś wtórym, we dwóch. [przypis edytorski]

wiecznym całemu światu postronić⁴³, nie mogąc go rozpoznać po nocy.

Dziura zabrał się skwapliwie do mitrężnej roboty.

Włos po włosie z warkocza wysnuwał i rzucał na wiatr w cztery świata strony. Świeże powietrze zaproszyło się wkrótce tysiącem nici złocistych, które zawirowały w tańcu niepochwytym, jakby chciały sobie miejsce w tych przestworach wytańczyć.

Przez rozplątaną wzwyż gmatwaninę tych nici przeświecały gwiazdy dalekie, przypominając oku obecność nieba poza nimi.

Zdawało się Dziurze, że świat cały, jakby złotym niewodem⁴⁴ schwytany, zbłąkał się w tej zamieci i że odtąd na tym świecie inny porządek, a właściwie bezład nastanie.

W końcu już nie widział nawet nici, jeno sam płas złocisty i samo zatrzęsienie.

Myślał, że mu nocy nie starczy na rozwianie całego warkocza, a tymczasem ani się obej-

⁴³postronić się — odsunąć się na bok, usunąć się. [przypis edytorski]

⁴⁴niewód — długa sieć rybacka. [przypis edytorski]

rzał, jak warkocz stopniał w dłoniach i wreszcie do reszty się ulotnił.

Czekał tylko na chwilę, aż wiatr go kędyś uniesie i zatraci.

Lecz płas złocisty trwał wciąż w powietrzu.

Nie chce się tym złociuchom tak prędko rozstawać ze sobą — pomyślał. — Jak się rozstaną, już się nie zejdą i nie odnajdą nawzajem. Nie siebie samych im szkoda, jeno warkocza, którego między sobą dojrzeć już nie mogą... Potańczą jeszcze kęs czasu i rozwieją się bezpowrotnie.

Lecz płas i popłoch złocisty nie ustawał i tak w końcu dokuczył Dziurze, że nie mogąc się upragnionego skutku doczekać, postanowił do chałupy wrócić, byle oczom widoku tej złotej a nieznośnej krzątaniny w powietrzu ująć co prędzej.

Ale zaledwo krok ku chałupie uczynił, nici złociste jęły się pośpiesznie gromadzić i jednoczyć, i po chwili przekonał się Dziura naocznie, że się splotły po dawnemu w warkocz rusałczany.

Zanim Dziura kroku przynaglił, warkocz pełznął już za nim w stronę chałupy. I znów noc bezsenną pod jednym dachem z tym warkoczem spędzić musiał.

Nazajutrz zastanowił się Dziura głęboko nad tym, co mu teraz czynić i jak postąpić należy.

I nagle nawiedziła jego głowę stroskaną myśl, której się chwycił natychmiast, jak pijany wierzbą przydrożnej.

A myśl była prosta: ożenek co najskorszy.

Dręczą mnie zmory, korzystając z mego stanu bezzennego — miarkował Dziura nie bez słuszności. — Niech no się ożenię, a z pewnością nie ośmieli się Majka żonatego człeka swym warkoczem po nocy napastować, bo i powaga moja stanie jej na przeszkodzie, i baby w chacie ulęknie się, jako niespodzianego sprzętu, nie dla jej wybryków, lecz dla mojej własnej wygody nabytego... Po cóż mam dłużej w bezzennym stanie tkwić, jak ten gwóźdź w podłodze albo ta kielbasa na kołku, przez nikogo nie tknięta i nie spróbowana. Niech no się dam

spróbować, a wówczas i sam siebie ocenię, i ludzie mi szacunku nie poskapią.

Z tymi myślami wyszedł z chaty aż hen na drogę i jakby za zrządzeniem Bożym ujrzał idącą naprzeciw młynarzową.

Zoczył ją z dala, jak szła, z lekka kołysząc się w biodrach i tęgimi policzkami czerwieniąc się w kurzu, który stopą co chwila nieciła, a nadolkiem spódnicy zagarniała ku sobie.

W miarę zbliżania się urastała w oczach Dziury, któremu — Bóg wie dlaczego — przyszły nagle do głowy bufory⁴⁵ nadchodzącego pociągu, gdy, zbliżając się do przystanku, olbrzymieje nieustannie.

Olbrzymiejąc właśnie, zrównała się z nim młynarzowa.

Stanęli obydwoje w pobok siebie, nie mówiąc ani słowa i mierząc się nawzajem spojrzeniami.

— Czemuśmy tak stanęli, jakby się nam obojgu droga w tym miejscu skończyła? — spytała młynarzowa zaczepnie i roześmiała się

⁴⁵*bufor* — zderzak pociągu. [przypis edytorski]

głośno, a śmiech wyźłobił jej w policzkach dwa dołki, w których by się dwie śruciny⁴⁶ mogły ukryć bezpiecznie.

— Może nam się i skończyła, a może i zaczęła — odparł dwuznacznie Dziura i spojrzął najpierw w jeden dołek, a potem w drugi, a z drugiego przeniósł wzrok na buty własne, sadłem świeżo polśnione.

— Śpieszniej nam było, widać, do tego stania na drodze niż do innej roboty — rzekła młynarzowa i znów się zaśmiała, ale tym razem ciszej i baczniej, tak że tym śmiechem Dziurę ku sobie, jak szmerem jedwabnym, nagle pociągnęła.

Spociał się Dziura i z nogi na nogę przestąpił.

— A gdybyśmy zamiast na drodze, na kobiercu ślubnym stanęli — rzekł z godnością i brwi podniósł.

Młynarzowa, słysząc tę odpowiedź, zrozumiała się i chciała obyczajem dziewczęcym

⁴⁶*śrucina* — kulka śrutu; drobny ołowiany pocisk broni myśliwskiej. [przypis edytorski]

twarz wdowią a zawstydzoną łokciem odpowiednio zagiętym przesłonić. Łokieć wszakże, mimo wysiłku, utkwiał w miejscu zbyt odległym i nie mógł dotrzeć do zamierzonego celu.

Spodobała się Dziurze i ta wstydlivość, i ten ruch łokciem.

— No i cóż? — spytał po chwili milczenia. — Zgody wyczekuję, a odmowy spodziewać się nie chcę.

— A czyż to pierwszy lepszy do mnie się zaleca, abym odmówić się ośmieliła? — odparła młynarzowa nie bez urazy w głosie i spowazniała.

Ma baba słuszność — pomyślał Dziura — przecież naprawdę nie pierwszy lepszy jestem!

I Dziura wyprostował się z lekka oraz piersi w ramionach poszerzył, aby dać poczuciu własnej wartości większą przestrzenność i swobodę w ciele.

Niebo, przejrzyste zachmurzone, ćmiło się srebrnym, we mgle rozcieńczonym słońcem i młodziło się na deszcz, który, z porania⁴⁷ uciąław-

⁴⁷poranie — tu: przedpołudnie. [przypis edytorski]

szy się w świeżym powietrzu, spadł nagle na ziemię z nieprzewidzianym a łatwym pośpiechem. Zabębnił po słomianym kapeluszu Dziury i jasną spódnicę młynarzowej popstrzył z rzadka ciemnymi cętkami.

Młynarzowa ruszyła nagle w dalszą drogę przed siebie, nie tyle deszczowi uchodząc, ile pragnąc przyjrzeć się temu, jak to Dziura teraz w ślad za nią nieodstępnie podąży. Dziura podążył.

Ona poszła przodem, a on, za nią z tyłu krocząc, zalecał się i gwarzył⁴⁸.

Po pewnym czasie zrównał się z nią i wzięwszy za rękę, postraniał⁴⁹ się nieznacznie w chodzie, ukosem zaglądając nie w twarz, którą co chwila odwracała, jeno w tę rękę, którą w swojej trzymał, jakby chciał ją zważyć i brzemień jej ponętne dokładnie oszacować.

Deszcz padał dorywczo, to powściągając dech w powietrzu i szelest po kłosach, to ze zdwo-

⁴⁸*gwarzyć* — prowadzić poufałą rozmowę, gawędzić. [przypis edytorski]

⁴⁹*postraniać się* — odsuwać się na bok, usuwać się. [przypis edytorski]

joną mocą wysypując swe ziarna obfite z nieba na ziemię.

Stało się tak, jak Dziura w sobie postanowił. Wkrótce bowiem poślubił młynarzową i od owej chwili zgodnie z jego przewidywaniem warkocz Majki do chaty ani zajrzał.

Bał się widocznie zazłocić bez pytania w oczach baby gospodarnej, która o porządek w chacie dbała wzorowo, albo też nabyta ożenkiem powaga Dziury poskromiła natrętnego dusiołka.

Mówiono wprawdzie we wsi, że już w dwa dni po ślubie nie lubiąca odwłoki baba zaczęła chłopca marudnego bijać i że Dziura takiemu pozyciu nie bardzo się opiera...

Trudno określić dokładnie, ile prawdy było w tych słowach, a ile gadaniny próznej, gębom ludzkim, jak chleb powszedni, niezbędnej.

Na pewno baba bijąca o połowę mniej, niż ludzie twierdzili, a połowę takiej mitręgi⁵⁰ można i znieść, i uznać, i wyrozumieć.

Tak czy owak, sam Dziura naokół wszystkim rozpowiadał, że ustatkował się bardzo i że

⁵⁰*mitręga* — trud, męczenie się. [przypis edytorski]

mu z tym statkiem szczęścia w chałupie przybyło.

Pewnej wszakże niedzieli dokuczyło mu owe szczęście już to swym nadmiarem, już to inną jaką zbytecznością, dość że wezbrała w nim nagle tęsknota, którą po dawnemu w karczmie sutym poczęstunkiem uczcił.

Łakomie wypita wódka nie ujęła mu przytomności, jeno dodała odwagi i roznieciła w duszy taką bezgraniczną, na przekór całemu światu, samodzielność, że chłop się nagle bez żadnego powodu rozzuchwalił i pięścią komuś w powietrze pogroził.

— Co zechcę, to zrobię! — krzyknął nagle, zwracając się groźnie do najbliższego w karczmie sąsiada. Najbliższy sąsiad odśmiechnął się tym słowom, lecz zamiast Dziurze odpowiedzieć, uderzył następnego sąsiada po karku, objął go po pijanemu za przekrwioną szyję i zawołał do ucha:

— Co zechcemy, to zrobimy!

A objęty za szyję przytakiwał jeno rzewnie i na oślep, bo oczy miał przymknięte:

— Będzie nam się dobrze działo, będzie nam się dobrze działo.

I mówiąc to, tak rękami poruszał, jakby smykiem po skrzypce prowadził.

Dziura pięścią w stół uderzył.

— Mam słuszność, bo mi się tak podoba!
— zawołał znowu i spojrzał wyzywająco.

Najbliższy sąsiad, podniecony tym zdaniem, krzyknął — Hu-ha! — a objęty za szyję rozpłakał się nagle i zwiesił głowę na piersi tak bezsilnie, jakby mu się raz na zawsze zwichnęła. Nie mógł usłużny towarzysz ani odchylić tej głowy, ani do dawnego miejsca na karku przystosować, jeno przytknął mu kędyś do ust nadpity przez siebie kieliszek i czekał cierpliwie, aż się ssącymi chciwie wargami pokrzepi.

Dziura odął gębę i zaczął bezmyślnie podmuchiwać w przestrzeń. Zdawało mu się, że to podmuchiwanie nie tylko jemu, ale i wszystkim naokół ulgę sprawia.

Gdy ulżył sobie dostatecznie, ujął głowę w pięście, wsparł się łokciami na stole i tak do późnej nocy potrwał.

Co przemyślał i co przedumał, trudno powiedzieć. To tylko pewna, że nocą karczmę opuszczając, nie do domu się udał, jeno do lasu zбочył.

Zachciało mu się spojrzeć choć raz na to jezioro, po którym niegdyś z Majką wędrował, łąką pływającą podsnuty i w nieskończoność duszą niewprawną odlatujący.

Przyćmione w pamięci wrażenie owego odlotu odnowiło się w jego ciele i napełniło je ożywym dreszczem zakazanej a kuszącej swobody.

Odepchnięte niegdyś poczucie bezmiaru uderzyło weń, jak łuna pożarna w szybę ciemną uderza, ślepiąc ją po wierzchu, a wnętrza poza nią nie rozwidniając.

Nie rozumiał bowiem, czemu zdąża do owego jeziora. Wiedział tylko, że z drogi nie zawróci i że mu dusza w piersi się panoszy i rozrasta, niby stóg siana, widłami przysparzany.

Wódka powoli z głowy mu doszczętnie wywietrzała, ale tęsknota do jeziora tak się dopeł-

niła, że już jej w myślach od samego jeziora ani odróżniał, ani odłączał.

Po drodze, jeno na wpół wiednie, na wpół bezwiednie piołunu garstkę uzbierał i za pazuchą ukrył.

Przez las idąc, kroku coraz przynaglał i wkrótce do jeziora się zbliżył.

Majka wiernie czekała nad brzegiem.

Spojrzał w nią Dziura i znieruchomiał.

A i ona żadnym ruchem nie zakłócała tej ciszy, której noc udzielała chętnie jej smukłej postaci. Księżyc dojrzewał w niebiosach. Ubrana była dotąd tak, jak ją Dziura był ubrał. Nie chciała widocznie pozbywać się drogiego dla niej, bo przezeń wybranego stroju.

Miała na sobie tę samą kacabejkę watowaną i ten sam letniczek fiołkowy. Na jednej dłoni lśnił się pierścionek z granatem, a w drugiej trzymała trzewiki skórkowe i pończochy białe, jako pamiątkę kosztowną, choć bezużyteczną. Na szyi jej połyskiwały dętki swym szklivem nieważkim, które nabyło od księżycy barw od-

miennych, pokrewnych rzeczywistym, a jednocześnie niezgodnych z nimi i niebywałych.

Dziura obrzucił ją wzrokiem i w miejscu należytym ujrzał ogon rybi, na murawie leśnej poległy zwiniętą w muszlę kończyną.

Na widok ogona opamiętał się i odzyskał dawny rozsądek.

Lepsza moja baba, bo jej nóg nie brak i ogonem mi oczu nie kła — pomyślał z zadowoleniem.

Majka dłoń z pierścionkiem nieśmiało wyciągnęła ku niemu na odległość, którą Dziura wzrokiem zmierzył natychmiast.

— Czekałam — szepnęła.

Dziura nic nie odpowiedział, jeno spojrział na jej warkocz złocisty, aby zbadać, czy jest i czy na miejscu się znajduje właściwym.

Warkocz złocił się i puszystymi zwojami opadał, jak zazwyczaj, z ramion ku stopom.

Widok warkocza poruszył w Dziurze niechęć zatwardziałą.

Nie mógł nań patrzeć inaczej, jak właśnie na dusiołka, który go dręczył po nocach.

— Czemuś nie przychodził? — ozwała się znowu Majka.

— Niesporo mi było — odrzekł Dziura i znowu pomyślał: Wolę ja warkocz mojej baby, bo choć od ogona świńskiego nie większy, aleć za to po nocach nie straszy i samopas po kątach się nie włóczy.

— Płakałam — rzekła tymczasem Majka, rozszerzając oczy, jakby chciała mu w całej pełni pokazać źródła tego płaczu. — Nie miałam kogo posłać do ciebie z wiadomością o łzach nieustannych, więc posłałam warkocz własny, aleś go odepchnął.

— Na głowie nieźle on wygląda — zauważył Dziura w odpowiedzi — ale gdy w chacie na podłodze się zazłoci, trudno się doń nawet bezzennemu człekowi przyzwyczać.

Majka westchnęła.

— Chcesz na jezioro moimi oczyma popatrzeć? — spytała nagle z nateżoną bacznością.

— Któż by tam, mając własne ślepie, cudzimi chciał zerkać bez potrzeby? — odparł Dziura wymijająco.

Majka opuściła bezsilnie dłoń, dotąd wciąż jeszcze wyciągniętą.

— Masz piołun w zanadrzu? — szepnęła cicho, że Dziura ledwo dosłyszał.

— Mam — odpowiedział, dotykając piersi gospodarnym ruchem robotnej dłoni.

Majka uśmiechnęła się gorzko.

— Doszły mnie tu pod wodą słychy-nie-dosłychy, żeś kobietę ziemską poślubił — rzekła, nie patrząc mu w oczy i jakby wstydząc się spodziewanej odpowiedzi.

— A jakże — potwierdził Dziura z dumą.

— Nie przykrzy ci się z nią sam na sam w chałupie? — spytała Majka i podniosła spuszczone przed chwilą oczy.

— A komuż by się sam na sam z babą przykrzyło? — rzekł Dziura głosem niepewnym i natychmiast dorzucił: — A jeśli mi się i przykrzy, ma baba na mnie trzy sposoby, aby ze mnie owo przykrzenie się wytrzebić⁵¹.

Uśmiechnęła się Majka i pyta:

— Jakież to sposoby?

⁵¹wytrzebić — całkowicie zniszczyć. [przypis edytorski]

Ujął się Dziura pod boki i nadržabiając mi-
ną, powiada zuchowato:

— Pierwszy sposób — bicie pałą po głowie, drugi sposób — bicie kijem po skroni, a trzeci — bicie drągiem po łbie.

— Któryż z tych sposobów najbardziej ci do serca przypada? — zaciekawiała się Majka i usta rozwarła w oczekiwaniu odpowiedzi.

Zamyślił się Dziura, zakłopotał się nie na żarty i po głębokim namyśle rzecze:

— Do serca — żaden, a do głowy — wszystkie trzy.

Majka zaśmiała się srebrnym, ku wszelkim dalom i oddalom rozdzwonionym śmiechem i tak, jak stała na brzegu, w kacabejce watowanej, w letniczku fiołkowym, z trzewikami i z pończochami w ręku — skoczyła do jeziora i znikła pod falą.

Wszakże śmiech jej trwał wciąż jeszcze w powietrzu i obijał się nieustannie o niechętnie chłonnałe go uszy Dziury.

Urażony nieco tym śmiechem odwrócił się i zmiarkował, że czas już do chałupy zdążyć,

tym bardziej że go ta długa nieobecność w domu niepokoić zaczęła ze względu na babę i na własną skórę.

Wybrnął co żywo z lasu i pośpiesznym krokiem dłużącą się drogę przebył.

Gdy do chałupy się zbliżył, baba z drągiem w progu już czekała. Dziura chrząknął i zbladł.

— Gdzieś bywał? — spytała, jakby to pytanie nie tylko na końcu języka, lecz i na końcu drąga miała.

Zawahał się Dziura z odpowiedzią, bo wahanie ze względu na przewłokę lubił, a odpowiedzi natychmiastowych, dla ich braku w głowie, nie znosił.

— Gdzieś bywał? — powtórzyła baba głośniej i nieodparciej, tak że nie mógł już Dziura pytania milczeniem pominąć. Poskrobał się w głowę i westchnął.

— Albo ja wiem? — rzekł nareszcie takim głosem, jakby naprawdę wszystko inne wiedział, prócz tego właśnie, gdzie bywał.

— A któż ma o tym wiedzieć, jak nie ty?
— zawołała baba. — Czy kto inny za ciebie tę noc poza domem spędzał?

— Pewno, że nikt inny jej za mnie nie spędzał, jeno ja sam, we własnej osobie — zgodził się Dziura i uczuł, że ta zgodność napełniła go nagle rodzajem nieuzasadnionej zresztą i zgoła niepochwytnej otuchy.

— Mów mi zaraz, gdzieś bywał! — krzyknęła baba głosem aż do krztuszenia się zniecierpliwionym i drągiem potrząsnęła umiejętnie.

A Dziura jak to Dziura, uśmiechnął się przebiegle i, niby rad ze swego odkrycia, powiada:

— Nie głupim! Gdybym ci wyznał, gdzie bywał, pewno byś mi tym drągiem głowę rozpaloną wystudziła.

Jak nie porwie się baba do drąga, jak nie zacznie go właśnie okładać! Zdawało się Dziurze, że mu duszę z ciała, jak ziarno dojrzałe z byle jakiej plewy, na wiatr wymłóci! Zdołał w czas pochwycić chwilę wolną pomiędzy jednym ciosem a drugim i gębę łokciem na chybił-trafił osłaniając, zawołał co prędzej:

— Poniechaj, babo, a wyznam wszystko!
I wyznał.

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur.

Ten utwór jest w domenie publicznej.

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na Licencji Wolnej Sztuki 1.3.

Fundacja Nowoczesna Polska zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur. Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony:
<http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/klechdy-polskie-majka>

Tekst opracowany na podstawie: Bolesław Leśmian, Klechdy polskie, Instytut Wydawniczy Pax, Warszawa 1978.

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>). Reprodukacja cyfrowa wykonana przez Bibliotekę Narodową z egzemplarza pochodzącego ze zbiorów BN.

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Dorota Kowalska, Hanna Gąssowska, Justyna Lech, Marta Niedziałkowska.

Okładka na podstawie: her hands, slightly everything@Flickr, CC BY 2.0

Wesprzyj Wolne Lektury!

Wolne Lektury to projekt fundacji Nowoczesna Polska – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

Jak możesz pomóc?

Przeznacz 1% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Nowoczesna Polska, KRS 0000070056.

Dołącz do Towarzystwa Przyjaciół Wolnych Lektur i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przebieg dowiedz się na [okładce](#) i [szczegóły](#) na stronie Fundacji.